

Ziolo - lecznictwo czyli wywary na przywary

Wojciech Ziółtek SJ
w rozmowie z Anną Sosnowską

Zanim zaczniemy...

Gdyby nie tamto wydarzenie, sprzed wielu lat, nie byłoby ani tego wywiadu, ani tej książki, ani mnie, więc...

We wrześniu 1989 roku byłem na Sycylii, w naszym jezuickim domu rekolekcyjnym, w położonej tuż nad morzem małej, uroczej miejscowości Alta Villa Milicia. Miałem dwadzieścia sześć lat, od siedmiu lat byłem jezuitą i od roku studiowałem teologię w Rzymie.

Od pięciu lat, konkretnie od października 1984 roku, byłem w wielkim kryzysie, który dotyczył właściwie wszystkich aspektów mojego życia. Na zewnątrz funkcjonowałem niezłe: z całkiem dobrymi wynikami zaliczyłem trzyletnią filozofię w Krakowie, zrobiłem roczną „magisterkę”, czyli praktykę duszpasterską, ucząc religii jedenastolatków w „salkach” naszej gliwickiej parafii, a potem rozpocząłem teologię w Rzymie. Co więcej, robiłem nawet kabarety, organizowałem artystyczne imprezy i – jak zawsze – „fajnie opowiadałem dowcipy”. A w środku było czarno i coraz czarniej. Wielka, rozlana jak smoła, wszechobecna tępa rozpacz oraz nagłe, długie i okrutne ataki strasznego, ostrego, paraliżującego lęku. Paraliżującego nie tylko w sensie przenośnym: było mi trudno oddychać, bardzo się pociełem i przede wszystkim wydawało mi się, że nie wytrzymam ani chwili dłużej, że za chwilę coś mi się stanie. Oczywiście pojawiły się też myśli samobójcze i wcale nie były jakies szczególnie straszne. To przynajmniej było jakies rozwiązanie...

Pewnie, że szukałem pomocy. Byłem u różnych specjalistów – i tych od duchowości, i tych od psychologii, robiłem testy, terapie, ale nie pomagało. Oczywiście wszystkie te rozmowy były bardzo pożyteczne, wiele mi dały, i za to, czego dowiedziałem się wtedy o sobie i o swoim wnętrzu byłem i jestem szczerze wdzięczny. Ale nie pomagało! Na chwilę przynosiło ulgę, ale zaraz potem ciemność wracała, a lęk paraliżował jeszcze bardziej, bo ten powracający boli bardziej – jest jak rozdrapywanie otwartej rany.

I jeszcze bardzo się modliłem! Z płaczem wołałem do Pana Jezusa, starając się jednocześnie, najgorliwiej jak tylko umiałem, być Jego wiernym sługą i towarzyszem. Zawsze chciałem być dobrym jezuitą. Ale ani modlitwa, ani pragnienia bycia dobrym nie pomagały. Nic.

Na zewnątrz wszystko wyglądało całkiem normalnie i poza mną oraz bliżej wtajemniczonymi nikt nie wiedział, co się dzieje, ale ja powoli traciłem nadzieję i zapadałem się. Czarna rozpacz ogarniała wszystko. Trochę więcej nadziei wstąpiło we mnie przed wyjazdem do Rzymu, bo nowe miejsce, nowe wyzwanie, nowe środowisko i – daj Boże – nowe spojrzenie na samego siebie. Niestety, kiedy w Rzymie do tego wszystkiego doszły jeszcze trudności językowe i kulturowe, zrobiło się już całkiem źle. Nie pomógł nawet miesięczny powrót do Polski na początku wakacji. Co więcej, właśnie w Polsce – całkowicie bezsilny wobec siebie i doprowadzony do ostateczności rozpaczą i lękiem – powiedziałem, a właściwie wykrzyczałem Panu Bogu, że nie będę się już więcej modlił, że jak nie, to nie, że jeśli chce, bym umarł, to umrę. Ale ja też mam swoją godność i bez końca skamlał nie będę. Nie, to nie! Koniec! W takim właśnie stanie absolutnej desperacji jechałem na Sycylię.

Przed rozpoczęciem drugiego roku teologii, razem z kilkunastoma współbraćmi z najprzeróżniejszych krajów świata, właśnie na Sycylii przeżywaliśmy wspólnie z naszymi formatorami

tzw. miesiąc kapłański – czas refleksji nad kapłaństwem, które za dwa, trzy lata mieliśmy przyjąć. Miesiąc, na który składały się konferencje, spotkania z bardziej doświadczonymi jezuitami, a przede wszystkim długie „dzielenia się”, kiedy to każdy z nas mówił o własnym doświadczeniu, o tym, co sam uważa itd. To wszystko do południa, bo upalne popołudnia były czasem do własnej dyspozycji, przeznaczonym na refleksję, na lekturę, na odpoczynek. Tak wyglądały moje pierwsze trzy tygodnie tamtego września, bo ostatni tydzień w całości przeznaczony był na Ćwiczenia duchowne, którymi kończyliśmy miesiąc kapłański.

Ale jeszcze przed rekolekcjami jeden z naszych starszych braci, Sycyliczyk, który po czterdziestu latach pracy misyjnej na Madagaskarze wrócił do Włoch, nauczył mnie pływać. To ważny szczegół, bo ta nowa umiejętność sprawiła, że zacząłem jakoś tak bardziej realnie myśleć o tym, jak to wszystko zakończyć. Plan był taki, że wypłynę w morze tak daleko, żebym już nie mógł wrócić... Wszyscy co najwyżej pomyślą, że nie umiał dobrze pływać, przecenił swoje możliwości i... stąd tragedia, bo z morzem nie ma żartów...

Na zakończenie miesiąca kapłańskiego były rekolekcje. Rozpocząłem je bez najmniejszych oczekiwań, z wyżej przedstawionym planem w głowie, z wyjącą wręcz pustką w sercu i z mocnym postanowieniem, że nie będę się modlił, bo jak nie, to nie. W swoim postanowieniu trwałem dzielnie, choć od początku pojawiały się kwestie dość zaskakujące. Już we wprowadzeniu do pierwszej medytacji prowadzący Ćwiczenia włoski jezuita Silvano Fausti zaproponował tekst z 19. rozdziału Pierwszej Księgi Królewskiej mówiący o tym, jak zniechęcony, rozczarowany sobą i przegrany Eliaszkładzie się pod jakimś krzakiem i chce umrzeć. Nie żebym się zaczął modlić (jak nie, to nie!), ale do głowy i – trzeba to powiedzieć – również do serca zaczęły mi

przychodzić myśli i refleksje dotyczące wielu podobieństw między sytuacją moją a Eliasza. Wszystko to sprawiło, że zacząłem słuchać tego, co mówi... Fausti.

Niestety, kolejne dni przyniosły zmianę na gorsze... Fausti od chcącego umrzeć Eliasza przeszedł do tekstów biblijnych mówiących o Bożej miłości (Iz 43, Oz 11), a dla mnie był to temat nie do zdzierzenia. Wyłączyłem się więc znowu... Ale była pewna różnica: nawet jeśli słowa o Bożej miłości bolały do żywego, to zawsze mogłem powrócić do rozmyślań nad moim podobieństwem do Eliasza. Miałem towarzysza niedoli...

Aż nadszedł wreszcie... czwarty dzień rekolekcji, 24 września 1989 roku, kiedy to Silvano Fausti zaproponował nam do modlitwy tekst przypowieści o Miłosiernym Samarytaninie. Zacząłem słuchać i ze zdziwieniem słyszałem, jak mówi, że to nie jest przypowieść wyjaśniająca, kogo jeszcze mam kochać, tylko mówiąca o tym, kto mnie kocha i że to sam Pan Jezus jest tym miłosiernym, kochającym Samarytaninem, i dlatego właśnie opowiada tę przypowieść owemu uczonemu w Prawie, bo dobrze wie, że tamten bardzo cierpi, gdyż w swoim życiu nie doświadcza ani miłosierdzia, ani miłości.

Wróciłem do pokoju, zamknąłem drzwi i usiadłem w fotelu. Na zewnątrz świeciło ostre sycylijskie słońce, ale zamknięte persjany stwarzały atmosferę półmroku. Właśnie w tym półmroku sięgnąłem po Pismo Święte. Nie żeby się modlić... Chciałem tylko przeczytać. Otworzyłem i przeczytałem trzy słowa: „Pewien zaś Samarytanin...”. Dalej pamiętam tylko, że bardzo płakałem. Bardzo i długo. Niemal przez cały dzień. Nie wychodziłem z pokoju, nie zszedłem na posiłek, tylko siedziałem i płakałem. To były takie dobre łzy! Łzy szczęścia! Łzy uratowanego! Było mi z nimi tak dobrze! Bo w jednej chwili poczułem, że Ktoś mnie przytulił, że ktoś mi przebaczył i że właśnie pokochał tak mocno i prawdziwie, że nie mogę mieć co do tego żadnych wątpliwości. Żadnych!

Aha! I jeszcze skończył się mój pięcioletni kryzys! W tej jednej sekundzie, przy tych trzech prostych słowach: „Pewien zaś Samarytanin...”, skończył się i nigdy już nie wrócił! Jeszcze nie raz bywało źle, jeszcze nie raz ciemność zagłędała mi w oczy, ale nigdy już nie była tak beznadziejnie nieprzenikniona, nigdy już do mego serca nie powróciła boleśnie skowycząca pustka.

Żyję!

Zmiana była tak niesamowita i tak radykalna, że po powrocie do Rzymu wszedłem do mojego pokoju, znów zamknąłem drzwi i... dotykałem ścian i mebli, bo wszystko wydawało mi się nowe, inne, zmienione. Wszystko było inne, choć przecież takie samo.

Trwa do dziś.

Wszystko, co stało się potem w moim życiu, mogło się stać dzięki tamtemu wydarzeniu sprzed lat. Dzięki niemu również całe moje życie potoczyło się inaczej, niż to sobie wcześniej planowałem i inaczej niż myślałem.

Bo to przecież nie tak miało być. Miałem być gr z e c z n y i – jak przystało na dobrego zakonnika – u r a d o w a n y. Dzięki temu, że „Pewien zaś Samarytanin...” nie przeszedł obok mnie umierającego obojętnie, tylko wzruszył się moją biedą i ranami, odkryłem i doświadczyłem, że jestem gr z e s z n y, a l e u r a t o w a n y! To najszczęśliwsze doświadczenie mojego ponadpięćdziesięcioletniego życia.

Nigdy nie zdołałem Mu za to podziękować, ale bardzo Mu jestem za to wdzięczny!

Podobnie mojej Rodzinie, Współbraciom i Przyjaciołom, bo zawsze byli i są przy mnie.

Ta rozmowa jest o tym!

Wojciech Ziółek SJ

PS. Nie byłoby tej książki, gdyby nie kompetencja, delikatność i warsztatowa solidność Pani Ani Sosnowskiej. Wszystkie te swoje cechy, ubrane w kobiecy wdzięk i urok osobisty, ujawniła w pełni nie tylko podczas przeprowadzania samego wywiadu, ale też podczas mozolnej i trudnej redakcji tekstu. I cały czas była wobec mnie cierpliwa!

Pani Aniu, bardzo dziękuję!